

# Notatki spod Monte Cassino

**Józef Poniatowski**

*Fragmenty pamiętnika z lat wojennych, opracował Florian  
Śmieja.*



Józef Poniatowski na Bliskim  
Wschodzie, fot. arch. Zofii z  
Poniatowskich i Floriana  
Śmiejów.

[...] Staraliśmy się o ten wyjazd od kilku tygodni. Mieliśmy wyjechać 8.V., ale potem przyszło zarządzenie, podobno generała Andersa, żebyśmy przyjechali 13-tego, bo akcja zacznie się 15-tego.

Wyjechaliśmy tedy w sobotę i koło 10 rano znaleźliśmy się w II rzucie Korpusu, o 2 km od Venefro, w Sekcji Polowej Propagandy i Kultury. Zameldowaliśmy się u ppłk. Michniewicza. Przyjął nas uprzejmie, wyjaśnił bardzo ogólnikowo sytuację i nieco zmroził wiadomością, że gen. Anders nie tylko nie chce teraz zajmować się prasą czy korespondentami, ale jest przeciwny jeżdżeniu do oddziałów. Okazało się ponadto, że jest to skutek niepowodzenia w pierwszym natarciu.

Mamy pojechać do punktu opatrunkowego. Wita mnie kierownik punktu, porucznik-lekarz K. Opowiada, jak piekielną mieli robotę przez parę poprzednich dni. Przez ich ręce przeszli prawie wszyscy ranni Korpusu – ponad tysiąc. Było po kilkadziesiąt operacji dziennie. Prawie każdy potrzebuje co najmniej transfuzji krwi. Na trzy dni przed natarciem, Niemcy ostrzelali ich punkt zabijając dwóch lekarzy i kapelana. Stali wtedy o 3 km dalej, już blisko dolnego końca Inferno, ale po tym wypadku musieli się przenieść. Dr K. przyznaje, że nie jest pewne, czy Niemcy chcieli trafić w szpital. Wisiała wprawdzie wielka płachta z czerwonym krzyżem, ale była dość wyblakła, a wąż ostrzeliwują stale, bo wiedzą, że to ważna droga komunikacji. Przy tym, o parę godzin wcześniej udało im się „zmacać” i zapalić znajdujący się opodal skład amunicji.

W czasie naszej rozmowy, przysłuchujący się początkowo kapitan o okrągłej twarzy, odchodzi na bok, zakłada stulę i udziela

ostatnich Sakramentów leżącemu obok rannemu. Potem zdejmuję stulę i wraca do nas. Mamy wracać, ale czekamy pół godziny, ruch pod górą wciąż zamknięty.

Nam radzi pułkownik udać się przed północą z mułami niosącymi prowiant do 16. baonu, nie ma nic przeciw temu, żebyśmy dotarli do któregoś z leżących na linii kompanii, Mułów jest kilkadziesiąt, wszystkie objuczone, poganiacze Cypryjczycy, podobno doskonale pracują, nasz oficer i dwóch żołnierzy. Noc ciemna, księżyc wszędzie za parę godzin. Rozświetlają ciemności tylko błyski wystrzałów i wybuchów, czasem przetnie niebo łuk świetlnego pocisku. Ogień zresztą nie jest zbyt gęsty i nadal trudno zrozumieć, kto i do kogo strzela. Zdaje się, że to tzw. ogień nękający – dwie strony kładą wiązki pocisków tu i tam, zwłaszcza gdzie znając teren przewidują bądź nieprzyjacielską baterię, bądź skupienia ludzi czy transporty.

Idziemy jeszcze kilkaset kroków drogą w lewo, ku dolinie Maioli. Potem skręcamy od niej ścieżką wspinającą się zboczem na wzgórze Castiglione. Tempo marszu dość szybkie biorąc pod uwagę ciemność, pod górę i ciągłą potrzebę wyplątywania nóg lub głów z drutów telefonicznych. Czasu tracić nie należy bo jednak co noc na tych ścieżkach muły i ludzie giną, o czym świadczy dość często straszliwy zapach padliny. Palić tu już nie wolno, hałasować – jak najmniej. O kilka metrów przed tą zachodnią krawędzią, zresztą dość łagodnie zbiegającą ostatnie

dwa schrony, już najbliższe nieprzyjaciela wyjątkowo zakryte i z góry, z jednego z nich wyłazi kpt. Biegunowski, zastępca dowódcy batalionu, przebywający od paru dni z 2. kompanią

Kompania leży tu trzy dni. Zapytuję kapitana o warunki. Nie mają ze sobą ani koców, ani płaszczy. Spać w tych warunkach może tylko ten, kto już potwornie zmęczony. Prowiant przywożą w nocy mułami do batalionu, stamtąd – na ramionach. O ciepłej strawie nie ma mowy, o wodzie do mycia – również. Pytam, czy te przypadkowe strzelaniny, tam i ówdzie padające pociski nie dały się we znaki, czy też kogo z kompanii uszkodziło. „Proszę zobaczyć”, odpowiada po prostu kapitan. Prowadzi mnie o 20 m w lewo od swego schronu: półotwarte stanowisko, na środku mała grządka zruszonej ziemi i kamieni, zatknięty nawet jakiś krzyżyk, o ile dobrze dojrzałem... „Tu spoczywa podchorąży i strzelec, siedzieli w tym schronie, pocisk trafił sam schron, nie było co ratować”. Idziemy o kilkadziesiąt metrów w tył. Kapitan szuka węchem i dotykiem i łatwo znajduje. „Tu także pochowaliśmy dwóch, ale to o dzień wcześniej od tamtych”. Trzeci grób widziałem na wstępie do kompanii. A więc w ciągu trzech dni bez większych działań, w oczekiwaniu, na odcinku podobnym do innych, kompania miała 5 czy 6 zabitych nie licząc rannych. Najbardziej uskarżają się na móżdżerze. Ale w dzień dają się także we znaki niemieccy strzelcy wyborowi.

Oprowadza nas po terenie swej kompanii i zarazem opowiada. Po

żołniersku, po prostu. Bierze mnie coraz większy dla tych ludzi podziw. Pytam, czy zmęczenie i stałe napięcie nerwów nie odbiera im zdolności do walki, czy nie łudzą się, że po paru jeszcze takich dniach ktoś ich zluzuje i pójda na wypoczynek, czy rozumieją, że to dopiero wstęp, że przyjdzie największy wysiłek, w którym na nich właśnie przypadnie rola natarcia. To wszystko dobrze wiedzą. Wiedzą, że zadanie przez ich poprzedników przed paru dniami wykonane nie zostało, więc musi być wykonane przez nich. Spodziewają się każdej nocy rozkazu nacierania na Widmo i dalej na San Angelo. Nastrój twardego realizmu, coś wręcz przeciwnego do „słomianego ognia”, o który tak często i chyba niesłusznie jesteśmy pomawiani.



Polska Armia pod Monte Cassino, fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe, sygn. 37-640-6, za pinterest.

Pomimo ciemności, horyzont rysuje się dość ostro, widać powyginaną linię wzgórz. Kapitan wyjaśnia: Maiola i ten grzbiet za nią, z naszej lewej strony – to region Karpackiej. Lewa krawędź tego grzbietu, za siodłem – to Monte Cassino, a to najwyższe wzniesienie na prawym końcu – to 593. Między nim i dalej w prawo, już przed nami położonymi San Angelo, 593 i in.,

w przedłużeniu Maioli to Gardziel Śmierci. W tym samym kierunku leży Masseria Albaneta - ruina pośrodku dolinki łączącej rejonu działania obu dywizji. Jeszcze sporo w prawo wznosi się Monte Cairo, ale szczytu z powodu ciemności nie widzimy. Zupełnie już po prawej ręce leży Castel Belmonte, a już prawie z tyłu - Cifalos, skąd właśnie teraz strzela niemiecka artyleria. Ogień stamtąd najbardziej zdeprymował nasze bataliony 18 i część 13 na Widmie tragicznej nocy 11/12 maja, bo chłopcy myśleli, że są pod własnym ogniem.

Rzeczywiście, ogień artylerii, co prawda niezbyt gęsty, słyszymy ze wszystkich czterech stron. Z jednej własny, z trzech - nieprzyjacielski. Przypomina mi się bitwa pod Świszczowem w końcu lipca 1920 r., gdy także ogień był naokoło, ale tam rzeczywiście trzeba się było przemykać i wyślizgiwać będąc wewnątrz przeważających sił nieprzyjacielskich.

Jest już prawie pewne, że tej nocy zacznie się natarcie. Rzeczywiście o 6. zaczyna się koncert, Muszę jednak przyznać, że przynosi mi trochę rozczarowania. Spodziewałem się więcej. Uprzedzano mnie wprawdzie, że na skutek interferencji fal głosowych huk jest mniejszy niż wynikałoby z dodawania wszystkich jego źródeł, ale przypuszczałem, że przynajmniej jest zupełna ciągłość huk, że nie będzie w nim przerw. Jakkolwiek nerwy były napięte przez samą świadomość, że oto o kilka kilometrów już się toczy walka na śmierć i życie, straszliwa



próba naszego Korpusu, od której zależeć może jego sława i uzyskanie nowego atutu dla sprawy polskiej, ale też i utracenie na długo zdolności bojowej – zapowiadało się na razie, że ten dzień będzie osobiście dla mnie prawie zmarnowany. Widoku z tej grupy schronów rozrzuconej w w obszernym gaju oliwnym – żadnego, zresztą wiadomo, że i dalej go nie ma, bo wszystko zadymione. Już znacznie wcześniej przyszła wiadomość, że jeszcze w czasie nawały artyleryjskiej, zaraz po 7 rano Kresowa zdobyła nie tylko resztę Widma, ale o wiele ważniejsze Colle San Angelo, jedną z pozycji kluczowych.



Melchior Wańkowicz, korespondent wojenny 2 Korpusu

Polskiego Melchior Wańkowicz (1. z lewej) w towarzystwie nierozpoznanych osób, na szczycie „Widma”. W tle Monte Cairo, fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe.

W miarę jednak upływającego czasu nastroje wyraźnie rzedły, chociaż nic konkretnego nie mówiono. Dowiedziałem się, że najciekawiej jest siedzieć w schronie podsłuchu radiowego i tam też przeważną część dnia spędziłem. Zostałem tam już Wańkowicza, który mając niezawodny instynkt dziennikarski utknął w tym podsłuchu od rana, siedział kamieniem pilnie notując. To słuchanie jest rzeczywiście fascynujące, ale mimo bardzo jeszcze dobrego tonu czołgistów wyczuwało się wyraźnie, że optymizm poranny był trochę przedwczesny. Koło południa Niemcy odebrali San Angelo, po paru godzinach nasi znowu tam częściowo wleźli, ale oczyszczenie wzgórza się nie udawało, straty od moździerzy były coraz większe, Karpacka też nie mogła ruszyć dalej. Batalion 6 majora Różyckiego dotarł na 200 m od Albanety i dalej nie mógł się ruszyć. Płynęły długie godziny bez oczekiwanego sukcesu. Przychodzi zapowiedź: o godz: 13.40 piechota rusza do natarcia na Albanetę, tymczasem okazuje się, że w ogniu nie może się ruszyć. Staje się konieczne przybliżenie jeszcze tych paru czołgów nie mogą się ruszyć, bo przed nimi kilkudziesięciometrowy pas gęsto zaminowany. Saperzy z początku oczyszczali przejście, ale zrobił się taki ogień, że leżą pod czołgami i nie chcą wyłazić. Przez dobre pół godziny trwa

wymyślanie na tych saperów, bo od oczyszczenia drogi dla czołgów zależy bardzo dużo, przecież Albaneta to pępek niemieckich pozycji. Słyszę rozkaz Drelicharza: „Ruszcie czołgiem, żeby wystraszyć tych sukinsynów, że ich przejedziecie”. Po chwili meldunek: „Ruszyliśmy, ale ci spryciarze powłazili pod stojący obok czołg z urwaną gąsienicą. Ich dowódca ppor. C. powołuje się na rozkaz pułk. S., że saperów należy oszczędzać. Nic, tylko wziąć kija i wyganiać te cholery”. „Strzel mu w łeb lepiej, to inni wyjdą”. O ile mi wiadomo, to zwrócono się wreszcie zupełnie poważnie do gen. Ducha o zezwolenie na zastrzelenie oficera dowodzącego saperami. Zezwolenie zostało podobno udzielone, ale zanim z niego skorzystano wyjaśniło się, że czołgiści trochę przesadzali, bo siedząc w czołgach nie doceniali bardzo silnego ognia moździerzy i spandauów uniemożliwiających pracę saperów. Ci ostatni próbowali pracować, ale co który głowę podniósł – strzelcy wyborowi nieprzyjaciela widocznie także rozumiejący sytuację, brali go na cel. Paru dostało, trudno się dziwić, że reszta wolą się chować.

Ku wieczorowi zaczęły napływać wiadomości o śmierci wyższych oficerów, Jurny nastrój czołgistów też zaczął nieco opadać. Czuć było zmęczenie, nawet w głosie Drelicharza (nazajutrz został ranny). Brakło im amunicji, mieli już kilku rannych, praca w nieustannym ogniu wyczerpuje. Wezwano z tyłu inny szwadron na zmianę, ale Drelicharz wybłagał, by go nie wycofywano – chce

doprowadzić swe zadanie do końca.

Na wieczór zaczęło się wszystko uspakajać bez rozstrzygającego wyniku dla którejkolwiek strony. Widmo było nasze, ale San Angelo i 575 m na odcinku Kresowej, a 595, 567 i Albaneta na odcinku Karpackiej pozostawały częściowo lub w całości w rękach Niemców. A nasze straty już były ciężkie i zmęczenie żołnierza – potworne.



Polska Armia pod Monte Cassino, fot. Narodowe

Nazajutrz obiecywałem sobie od wczesnego rana siedzieć na podsłuchu. Tam przybyliśmy o 10.20 – prawie o tej samej właśnie minucie gen. Anders otrzymał meldunek, że przed paru minutami patrol 12 pułku ułanów wszedł do klasztoru Monte Cassino. Okazało się także, że w nocy i nad ranem wzięto Albanetę, 595 i 567. W chwilę potem widzieliśmy gen. Andersa udającego się na nabożeństwo, które z tego tytułu zarządził.

Koło namiotu ppłk. Michniewicza spotykam go wraz z ppłk. Bąkiewiczem i dowiaduję się od nich, że za chwilę jedzie do zdobytego klasztoru grupa amerykańskich dziennikarzy w towarzystwie polskich oficerów. Błagam, by mnie przyłączyli. Ppłk. M. powiada, że nic nie ma przeciw temu, ale muszę się starać o samochód. .

Wyruszyliśmy po 1. Było z dziesięciu, a może i tuzin Amerykanów, z nimi ppłk. Bąkiewicz, paru oficerów informacyjnych, z prasy Bau, Mossin i ja, filmowcy: Jaszcz, Lipiński, Bazarewski, jeszcze jakiś jeden major z kilku żołnierzami i chorągwią do wy(*nieczytelne*) klasztorze, jeden kapelan i ktoś tam jeszcze.

Dojechaliśmy do tzw. car-parku – po prostu łączka u podnóża

góry. Dalej idzie już tylko wąska i trudna ścieżka pod górę do drugiego, górnego car-parku. Ruch na niej, oczywiście, jednostronny, a właśnie w dół prowadzą wziętych w klasztorze jeńców: trzy partie po dziesięciu. Młodzi chłopcy, bardzo widocznie zmęczeni, zarośnięci, sami spadochroniarze. Podobno w nocy ponad stu wyszło z klasztoru, który już był odcięty i poszło poddać się Anglikom, by nie dostać się w polskie ręce.

Poszli, ale naszych łazików nie puszczają. Decydujemy się iść pieszo. Droga ciężka, coraz to trzeba wymijać to łaziki, to grupy robotników włoskich, to patrole sanitarne, to niosących nosze z rannymi, albo trupy owinięte w koce. Trupy leżą także od czasu do czasu, o ile są owinięte, to wyglądają jak jakieś na pocztę przygotowane przesyłki, tylko buty z jednej strony sterczą. Gorzej gdy (*nieczytelne*) owinięte, albo nawet przykryte, bo wówczas rozkładają się i strasznie pachną.

Ścieżka – już wyłącznie dla pieszych i może od biedy mułów, nieco powraca, potem skręca przez siodło w lewo i znowu się podnosi. Jesteśmy tu już na terenie, który nieprzyjaciel może obserwować i ostrzeliwać. Pada zarządzenie, żeby iść w odstępach dwudziestu kroków jeden od drugiego. Mijamy nieco krzaków, widzimy już klasztor, a raczej jego ruinę, wyjątkowo nie zadymioną, tak blisko, jak jeszcze się tej groźnej kupy gruzów nie widziało. Ścieżka zwraca jednak jeszcze w prawo, biegnie równolegle z krawędzi, za którą leżą miski Maioli, aż osiągamy

wielki murowany budynek słynny z czasu walk Karpackiej „Domek lekarza”, uwija się trochę ludzi, a przed domkiem leży przy ścieżce rzędem pół tuzina trupów z niezasłoniętymi twarzami.

Za laskiem droga dość stromo się podnosi – to już wejście (*nieczytelne*) Monte Cassino. Nad nami wznosi się imponująca ściana stosunkowo mało naruszona – to jedyna ocalała północna ściana klasztoru.

Pnę się na wzgórze i sapiąc spotykam gdzieś w połowie wzgórza na kilkadziesiąt metrów przed murem – Wańkowicza. Nie jestem jego adoratorem, złości mnie jego blaga i interesowność, kłóciliśmy się często o sprawy redakcyjne, aż się prawie obraził – a jednak przyznać muszę, że tym razem opanował mnie podziw, jak poprzedniego dnia na widok tych żołnierzy wnoszących na górę żywność i amunicję. Z jego tuszą i w jego wieku, to naprawdę wyczyn sportowy.

Ścieżka wzdłuż ściany wyprowadza nas na zasypany gruzami plac zachodniej strony klasztoru, gdzie grzbiet jest najłagodniejszy. Sterczy tam jeszcze kilka pni drzew i ruiny jakichś zabudowań. Klasztor od tej strony wygląda opłakanie – potworne rumowisko. Po lewej stronie wejście do jakiegoś tunelu, zapewne niegdyś po prostu korytarza. Stoi tam paru naszych saperów. O parę kroków przed kupą jakichś gruzów

pomieszanych z puszkami od konserw itp. – coś się żarzy. Zapytani saperzy wyjaśniają, że to jeszcze Niemcy zapalili.

Patrol z chorągwią musi się wydrapać na szczyt rumowiska, by zawiesić chorągiew na którymś z najwyższych punktów. Drapie się za nimi, co jednak nie jest łatwe, ani całkiem bezpieczne, bo trzeba się dostawać po stromych i wciąż usuwających się pod nogami gruzach, a ponadto nikt nie wie, czy teren nie jest zaminowany. Toteż z całej grupy liczącej ze trzydzieści osób wydrapało się na górę zaledwie siedem-osiem. Spośród Amerykanów widziałem na górze dwóch, Bau i Mossin zostali na dole, Wańkowicz, oczywiście, także... Samo zawieszenie chorągwi polskiej, a obok, ale trochę niżej – brytyjskiej odbyło się właściwie bez żadnej uroczystości, nikt nawet nie krzyknął „Baczność”.

Widać z góry dobrze obszerny arkadowy dziedziniec wewnętrzny, poważny i harmonizujący, ale mocno zniszczony. Figura założyciela klasztoru i zakonu, św. Benedykta, stoi żałośnie na ziemi bez głowy i ręki. Na przeciwległej ścianie – mały proporczyk ułanów, którzy pierwsi tu weszli. Poza tym – gruzy, gruzy, gruzy.

Zastanawiałem się, jak się to stało, że pomimo wszystko taki zwykły murowany, choćby i solidnie, budynek mógł choćby w stanie zburzonym uchronić załogę zarówno w czasie tyłu



ciężkich bombardowań lotniczych (*nieczytelne*) artyleryjskich. Jak nazajutrz zeznawał dca załogi, Niemcy prawie nie mieli tam strat od ognia.

Na dole zastałem zaledwie kilka osób. Część już pomaszerowała z powrotem, gdy byliśmy w klasztorze, jakiś pocisk padł przy ścieżce, którą niedawno przechodziliśmy, a ponadto odgłosy walki artyleryjskiej od północy jakoś się ożywiły i ostatecznie nikt dobrze nie wiedział, kto skąd i do kogo strzela.. Nie widziałem także Baua i Mossina, którzy, jak się potem okazało, chodzili jeszcze po różnych wewnętrznych zakamarkach. Sądząc, że już poszli, a będąc z nimi związany wspólnym łażikiem, musiałem się spieszyć. Poszedłem więc tylko jeszcze wzdłuż głównego korytarza, u wejścia do którego żar jeszcze nie wygasł, zajrzałem do jednego z bocznym zakamarków i wycofałem się. Słyszałem, że w jednym z bocznych korytarzy siedzą trzej ranni Niemcy jeszcze nie ewakuowani, ale nie mogłem się przemóc, by iść ich oglądać. Wziąłem spod muru klasztornego odłamek pocisku na pamiątkę i zabrałem się do powrotu.

Gdzieś na początku lasu spotkałem Baranowskiego, który mi powiedział, że czeka na resztę filmowców i że Bau i Mossin zapewne jeszcze nie wyszli. Nie chciałem już jednak wracać, by się nie rozminąć. Gdy szedłem ścieżką poprzeczną wzdłuż Onufrio – ogień się jeszcze ożywił, a trzy pociski padły o kilkadziesiąt metrów poniżej podstawy klasztoru. Zauważyłem

obok ścieżki bardzo rozłożonego trupa – jeszcze chyba Anglika lub Amerykanina sprzed nadejścia na odcinek naszych oddziałów. Kamienie ścieżki w wielu miejscach silnie pokrwawione. Gdy dochodziłem do „Bramki”, słychać było bliskie serie kmów. Tłumaczyłem sobie, że to nasi likwidują ostatnie pozostałe wzgórze 575, ale nie bardzo mi się to podobało. Odcinek pomiędzy Domkiem Lekarza a „Bramką” już nie tylko Amerykanie, ale i nasi żołnierze przebywali biegiem. Koło Domu Lekarza też jakiś ruch bardziej gorączkowy niż przedtem. I ta seria karabinów maszynowych jakby gdzieś o paręset metrów, w dolinie Maioli. Później się okazało, że kontrataku na Albanetę nie było, ale San Angelo, wbrew poprzednim wiadomościom, nie było jeszcze w całości zdobyte jak i 575, a więc bitwa toczyła się od naszej ścieżki chyba nieco ponad kilometr.

Zszedłem do dolnego car-parku koło piątej, a w kilka minut potem zjawili się także filmowcy oraz Bau i Mossin. W II rzucie zastałem Rubla, zadowolonego z trzydniowego pobytu w 1 pułku artylerii lekkiej. Przyniosłem przywiezioną z Neapolu butelkę whisky oraz zachowany z Campobasso kawałek wędzonki i z Wackiem, Bornholzem i Rublem popiliśmy nieco pod to całe piękne zwycięstwo.

Następnego dnia pojechaliśmy z Rublem do sztabu Karpackiej szukać okazji do jakiejś wycieczki. Szczęśliwie się udało, dostaliśmy łazika i pojechaliśmy obejrzeć pole bitwy na wzgórzu

598, zdobytym poprzedniego dnia rano, na parę godzin przed klasztorem.

Tym razem udało się dojechać aż do górnego car-parku, co oszczędziło nam dużo zmęczenia i czasu, zwłaszcza że Rubel ma jedną nogę słabą (po złamaniu) i chorobę przestrzeni. Swoją drogą podziwiałem, jak łazik piął się po tej wściekle stromej serpentynie, ale się piął.



Kapral Emil Czech gra hejnał mariacki,  
ogłaszając zwycięstwo pod Monte  
Cassino, fot. Pinterest.

My tymczasem doszliśmy normalnie do „Bramki”, stamtąd ścieżką pod górę i niezadługo znaleźliśmy się pod grzebieniem z którego nacierali nasi ułani. Czuć tam było jeszcze silnie atmosferę niedawnej walki. Kamienie zarzucone częściami umundurowania, odłamkami pocisków i granatów ręcznych, gilzami, niewypałami, częściami broni. Tu i ówdzie leżało jeszcze kilka trupów. Oto dwaj nasi żołnierze spaleni przez leżący obok, już zniszczony, niemiecki miotacz płomieni. Jeden leżąc szczerzy z wypalonych ust złote zęby, drugi, prawie na czarno zwęglony, pół siedzi w jakimś strasznym skurczu. A oto pokazują tzw. bunkier niemiecki. Dziura w skale dość głęboka, przykryta *zo(nieczytelne)* tylko szczelina szerokości 20-30 cm, ale skierowana ku górze. Żeby z tego strzelać, trzeba wyleźć, albo co najmniej mocno się wychylić.

Ze wszystkiego widać, że tu, gdzie stoimy, musiała się odbywać rzeczywiście walka prawie wręcz, na niezmiernie bliską odległość. Po ziemi leżą liczne zawleczone od ręcznych granatów – rzucanych przecież nie dla ćwiczenia. Oglądamy szereg stanowisk, gdzie leżeli Niemcy, gdy już nasi zajęli sam szczyt – są

to wnęki może o metr lub dwa za krawędzią skalną okalającą szczyt, a więc o kilka lub kilkanaście metrów od stanowisk, gdzie już byli nasi. Jedni leżeli po jednej, drudzy po drugiej stronie wysokiej na kilkadziesiąt cm krawędzi i rzucali do siebie granatami nie mogąc się podnieść, bo każde wychylenie się oznaczało śmierć.

A za krawędzią z prawej strony – dość stromy spadek w dolinę pośrodku której bieleje spora ruina obok której stoi parę unieruchomionych czołgów – to właśnie Masseria Albaneta, klucz całej pozycji. Oczywiście, łatwo powiedzieć: klucz, ale przecie nikt by się tam długo nie utrzymał mając nieprzyjaciela na 593 i na San Angelo widocznym z drugiej strony. A więc kluczem są te trzy punkty łącznie, czy też dla otwarcia tej górskiej bramy potrzebne są trzy klucze. Ale zdobywanie Albanety, gdy jeszcze ani S. Angelo, ani 593 nie były opanowane w zupełności, to rzeczywiście, na oko sądząc, zadanie dla szaleńców. Dlatego tyle kosztowało i dlatego mogło się udać tylko pod osłoną nocy i czołgów.

Strzelanina już tego dnia była znacznie odleglejsza, dymy wykwiwały na zboczach Monte Cairo, gdzieś w kierunku Passo Corno – bardziej w lewo od Piedimonte.

Po długiej, żałosnej wędrówce dotarliśmy wreszcie do dolnego car-parku wyglądając jakiejś okazji. Tym razem udało się, bo nie

wiadomo dlaczego dwaj Anglicy, którzy byli z nami, a zjechali w dół już przeszło godzinę temu, jeszcze nie odjechali i uprzejmie zaproponowali nam miejsce. Dowieźli nas do sztabu III dywizji. Tam zjedliśmy podwieczorek w towarzystwie gen. Ducha i ppłk. Piątkowskiego i dostaliśmy łazika na dalszy powrót.

Nazajutrz kończył się nasz tygodniowy wypad. Rano pojechaliśmy jeszcze do I rzutu podziękować za opiekę i pomoc, na obiedzie spotkaliśmy majora Czapskiego i kapitana Gierata, którzy przyjechali osobowym samochodem i z nimi wróciliśmy bez przygód do Neapolu.

*Józef Poniatowski (1897-1995) ekonomista, redaktor naczelny „Orła Białego” na Bliskim Wschodzie i we Włoszech (1942-1944), Minister Spraw Krajowych w gabinecie dr Stanisława Ostrowskiego w Londynie.*

---

# Polska Wiosna Teatralna we Lwowie



„Nowe szaty króla”, fot. Aleksander Kuśnierz

**Anna Gordijewska**

Na Polską Wiosnę Teatralną przyjechały znane już lwowskiej

publiczności amatorskie zespoły teatralne z Wilna i Wędryni. Po raz pierwszy na tegorocznym festiwalu gościł Teatr AA Vademecum z Wiednia. Gospodarz wydarzenia – Polski Teatr Ludowy – przedstawił swoją nową premierę.

W tym roku w festiwalowym repertuarze górowały komedie. Gwiazdą siódmej edycji Wiosny był słynny polski aktor teatralny Stanisław Górka. Impreza odbyła się w dniach 21-24 kwietnia 2017 roku w Pierwszym Ukraińskim Teatrze Młodego Widza, w Lwowskim Obwodowym Teatrze Lalek, w Teatrze im. Lesia Kurbasa oraz Obwodowym Domu Nauczyciela. Organizatorem 7. Polskiej Wiosny jest Konsulat Generalny Rzeczypospolitej Polskiej we Lwowie.





„Boeing Boeing”, fot. Anna Gordijewska



Festiwal zainaugurował Zespół Teatralny im. Jerzego Cieńciały z Wędryni, który wystawił sztukę „Boeing, Boeing” francuskiego pisarza Marca Camolettiego w reżyserii kierownika tegoż zespołu Janusza Ondraszka. Ta komedia trafiła do księgi Guinnessa za rekordową ilość wystawień, została zagrana w 55 państwach. Główny bohater Maks dokładnie zapisuje godziny odlotu i przylotu samolotów, ponieważ jego trzy dziewczyny – Johana, Jola i Janet – są stewardessami, ale pracują w różnych liniach lotniczych. Młody podrywacz trzech damskich serc obiecuje każdej ożenić się z nią. Jego system randek działa sprawnie, samoloty przylatują i odlatują, a wraz z nimi narzeczone. Ale jak to w życiu bywa, nie wszystko działa jak w zegarku, po zmianie rozkładu lotów wszystkie niewiasty naraz zaczęły wracać do mieszkania swojego ukochanego. Do Maksa wpada jego kuzyn Paweł, który szybko zorientował się, że coś jest nie tak i wraz z gospożą Nadią (w rolę której wspaniale wcielił się Janusz Ondraszek) pomagają mu wyjść z niejednoznacznej sytuacji.





„Nowe szaty króla”, fot. Aleksander Kuśnierz



Podczas Wiosny nie zabrakło spektaklu dla najmłodszych widzów. „Nowe szaty króla” Hansa Christiana Andersena – wyreżyserowane przez Lilię Kiejzik – to tegoroczna pozycja festiwalowa Polskiego Studia Teatralnego w Wilnie „Teatr Studio”. – Jesteśmy zadowoleni, że Lwów znów potrzebował bajki. Baśnie Andersena to klasyka, która jest zawsze aktualna – powiedziała w rozmowie z KG kierownik zespołu Lilia Kiejzik. W sztuce zagrali młodzi chłopcy 12 i 13-latkowie wraz z dorosłymi aktorami. Cieszymy się również, że mogliśmy przyjechać do Lwowa. W październiku kolejne nasze spotkania teatralne odbędą się w Wilnie. Mamy możliwość pojechać gdzie indziej, ale zawsze najchętniej wracamy do Lwowa...

W drugim dniu debiutant festiwalu Teatr AA Vademecum z Wiednia zagrał „Seksmisję” w oparciu o scenariusz Juliusza Machulskiego w reżyserii Agnieszki Salamon. Film Machulskiego z lat 80. do dziś należy do jednej z kultowych komedii kina polskiego. Główni bohaterowie, przeżywszy wojnę atomową, po obudzeniu się trafili do podziemnego państwa, gdzie mieszkają i rządzą tylko kobiety. Była to bardzo interesująca propozycja wiedeńskiego zespołu, tym bardziej, że żaden z teatrów dotychczas nie podjął się zagrania tej komedii na scenie. – Na pomysł z „Seksmisją” wpadłam w bardzo prosty sposób – powiedziała Agnieszka Salamon. – W zespołach amatorskich jest wiele pięknych i zdolnych kobiet, i mało jest sztuk, gdzie jest

dużo kobiecych ról. Ponieważ „Seksmisję” wszyscy znają i ja też (choć miałam wówczas 5 lat), pomyślałam, że jest to idealny materiał, żeby obsadzić w nim dużo kobiet, żeby wszystkie miały dużo do grania na scenie. Spróbowaliśmy otrzymać prawa autorskie od Juliusza Machulskiego, a przyznam, że nie było to łatwe. No i udało się! Jesteśmy po grudniowej premierze we Wiedniu i po wiosennej lwowskiej – dodała.



„Seksmisja”, fot. Aleksander Kuśnierz

Natomiast dyrektor Teatru Vademecum Beata Maciejczuk-Paluch była zaskoczona lwowską publicznością, która żywo i

spontanicznie reagowała na grę aktorów. – Spotkało nas tutaj fantastyczne przyjęcie, którego nie spodziewaliśmy się – zaznaczyła. Dziękujemy bardzo całemu zespołowi Teatru Polskiego we Lwowie za to trudne logistycznie przedsięwzięcie. Chcielibyśmy coś podobnego zorganizować u nas w Wiedniu i mamy nadzieję, że polski teatr ze Lwowa ponownie zawita do nas i pokaże coś równie ciekawego. Znakomicie, że nasze marzenia spełniły się i że jesteśmy na tym festiwalu teatralnym, o którym już słyszeliśmy wcześniej – powiedziała.

W niedzielę, 23 kwietnia, Polski Teatr Ludowy ze Lwowa zaprosił gości i widzów do swojej skromnej widowni na komedię Dario Niccodemi „Scampolo”. Powojenna premiera przedstawienia, ale z podtytułem „Świderek”, miała miejsce we Lwowie przy ul. Zimorowicza 17 w Teatrze Małych Form 5 kwietnia 1946 roku. W tym przedstawieniu Bogusława Michna-Czosnowska (obecnie mieszka w Szczecinie) zagrała tytułową rolę – Świderka, po 71 latach w rolę Scampolo wcieliła się Wiktoria Słobodiana. Zbigniew Chrzanowski, który wyreżyserował tę sztukę, wystąpił jako Nieznajomy, w tej samej roli, którą przed laty zagrał jego wujek – Stanisław Krzanowski. Zbigniew Chrzanowski marzył o wystawieniu tej komedii, ale okazało się, że nikt nie ma tekstu. Po długich poszukiwaniach, w zbiorach Ossolineum we Wrocławiu odnaleziono rękopis suflera teatralnego.

Podsumowując 7. Edycję Wiosny Teatralnej współorganizator

tego festiwalu Zbigniew Chrzanowski powiedział o tym, że te trzy dni – spektakle, spotkania, relacje z publicznością – przeminęły jak jeden moment. – Spotykamy się ze sobą od wielu lat, myślę o Wilnie i Wędryni. A teraz dołączył do nas nowo poznany teatr Vademecum z Wiednia. Wszystkie zespoły grały wspaniale! Staramy się do każdej edycji teatralnej zaprosić również osobę, która będzie ozdobą, punktem odniesienia, wysokiego kunsztu, pięknego artyzmu. W ciągu wielu lat zawsze nam się to udaje. Lwowska publiczność jest bardzo chłonna, wrażliwa i bardzo chętnie przyjmuje nasze propozycje – dodał.

Powieść Romain Rollanda „Colas Breugnon” przywiózł Stanisław Górka, znakomity aktor teatralny i reżyser. Stanisław Górka jest profesorem i wykładowcą Akademii Teatralnej w Warszawie, a także dyrektorem Towarzystwa Teatralnego „Pod Górkę”. Ten wzruszający monodram w jego wykonaniu bardzo przypadł do serca lwowskiej publiczności. W przedstawieniu zabrzmiały piosenki Georges Brassensa w tłumaczeniu nieodżałowanego Wojciecha Młynarskiego pod nagrane dźwięki fortepianu w wykonaniu Jerzego Derfela. Wszystko to stworzyło niepowtarzalną atmosferę w dawnym teatrze Bagatela, niegdyś Casino de Paris, gdzie występowały różne kabarety, a także śpiewała Hanka Ordonówna – obecnie jest to Teatr im. Lesia Kurbasa.





„Colas Breugnon”, Stanisław Górką, fot. Aleksander Kuśnierz

W wywiadzie dla „Kuriera Galicyjskiego” Stanisław Górką powiedział, że spektakl „chodził za nim” od wielu lat. Wybrał ten tekst, ponieważ ma on dla artysty pewne urzekające przesłanie, ważne dla dzisiejszego współczesnego człowieka. – Romain Rolland miał wiele spraw przemysłanych i dużo wiedział o naturze ludzkiej – powiedział. – Stworzył postać Colas Breugnon, człowieka, który dźwigając się z nieszczęścia, z upadku, tracąc wszystko, zostając nędzarzem, mimo wszystko znajduje sens życia. Zachował godność i zachował szczęście. Wiemy, że jest to książka o dziwnej mocy, dzięki której wiele



osób przeżyło czasy stalinowskie, II wojnę światową, holocaust, okupację, czasy pogardy i nieszczęść. Ta książka działa w sposób cudowny, ponieważ dodaje nam sił. Są ludzie, którzy czytają ją w kółko, są jak gdyby od niej uzależnieni. Powieść ładuje akumulatory, uspokaja i przywraca wiarę w świat i ludzi, w człowieczeństwo – dodał Stanisław Górka. Główne motto tego przedstawienia, jak mówi Romain Rolland: „Im mniej posiadam, tym jestem bogatszy, bo umiem żyć szczęściem innych ludzi”. Artysta grał ten spektakl na Florydzie i był zdruzgotany świadomością tamtejszej publiczności, która patrzy 20 lat do przodu. – A my jeszcze tego nie wiemy, gonimy tu we Lwowie, w Warszawie, zadręczamy się, zamartwiamy się. A przecież nie na tym polega życie. Rolland daje prostą receptę na życie. Chcesz być szczęśliwy? Zostaw to wszystko! Znajdź szczęście w najprostszych rzeczach – w przyjaźni, smakowaniu jedzenia, życia i wina też.

Zakończyła się 7. Polska Wiosna Teatralna we Lwowie. Mimo niskiej temperatury, jak na tę porę roku, w czterech różnych salach widowiskowych teatrów lwowskich było ciepło, a wręcz gorąco od emocji, wspaniałej gry aktorów, brawurowych oklasków publiczności, niezapomnianych i wzruszających spotkań i przemyśleń tego, co zobaczyliśmy na scenie. Spotkali się ze sobą Polacy, mieszkający poza granicami Ojczyzny, którzy poprzez swoją pracę społeczną i poświęcenie nieustannie wnoszą wkład w kulturę polską w krajach swego zamieszkania i których

łączy magiczne słowo – Teatr.

*Źródło: Kurier Galicyjski, <http://www.kuriergalicyjski.com>*

*Tekst ukazał się w nr 8 (276) 28 kwietnia – 15 maja 2017*

---

# Jazz romantyczny



**Adam Fiala**

## **Felieton muzyczny 1**

Wszystko co poważne lubi się zaczynać od nonsensu bądź banału. Ponoć jako dziecko gdy słyszałem gwizdzącego wuja Gieńka to płakałem. Wuj grał także na trąbce, była złocista, później kojarzyłem ją z trąbką Luisa Amstronga.

Ale pierwsze lekcje gry na pianinie, wyszabrowanym przez ojca na Ziemiach Zachodnich rozpocząłem już jako uczeń czyli przekroczyłem wiek niezbędny dla tak zwanego cudownego dziecka. Robiłem szybkie postępy, ale nauka prywatna ma to do siebie, że nauczyciel skupia się na samej grze, pomijając zupełnie teorię muzyki. Obecnie więc jestem rodzajem kompozytora, który wprawdzie potrafi przeczytać nuty ale nie jest zdolny by ją napisać. Robiłem wtedy tak szybkie postępy mając naturalną łatwość poruszania na klawiaturze palcami, że wkrótce potrafiłem zagrać nie tylko wczesne Polonezy Fryderyka Chopina, tak zwane *juvenalia* ale dorwałem się do Mazurków. Łatwo było wtedy kupić całkiem tanio pięknie wydane zbiorowe dzieła tego kompozytora pod redakcją Józefa Ignacego Paderewskiego.

Wuj Tadeusz, adwokat, dzięki któremu odbywałem te lekcje spojrzał na Mazurki i powiedział, że mogę je łatwo grać bo zapis nutowy nie jest zbyt czarny. Wuj był rozkosznym dyletantem w dziedzinie sztuki i znakomitym adwokatem w tym sensie że przepadali za nim klienci. No i wygrywał sprawy, pobierając pieniądze, które mu się naprawdę należały. W tym okresie adwokaci pracowali w tak zwanych zespołach, Wuj nazywał je zespołami. Nie miał całkowitej racji. Mazurki były tylko pozornie łatwe. Akordy lewej ręki harmonizującej z prawą, obejmowały ilość klawiszy, zarówno białych jak i czarnych, przekraczając możliwości moich rąk. Obecnie znawcy także twierdzą, że

Mazurki przez swą pozorną prostotę są bardzo trudne interpretacyjnie.

Tak więc grałem lepiej czy gorzej głównie Chopina, a potem miałem bardzo długą przerwę i wróciłem do muzyki kiedy przypadkowo znalazłem w Perth na dorocznej wystawce rzeczy zbędnych zupełnie dobry keyboard. Oczyszcziłem, włożyłem baterie i *voilà*. Instrument miał to do siebie, że nie wymagał strojenia. Moje dawne pianino było koszmarnie rozstrojone, ktoś twierdził, że nadawało się do muzyki w barach czy saloonach. I to mnie zastanowiło. Postanowiłem stworzyć coś w rodzaju Jazzu romantycznego, paradoksalnie nawiązującego do muzyki Chopina. Wydaje się to nonsensem. Niezupełnie. Kiedyś w jednej z muzycznych audycji telewizyjnych zauważyłem jak Duke Ellington uderzył kilka akordów i powiedział: “ale to jest poezja”.

---

# Utarczka

# z Zygmuntem Nowakowskim (1891-1963)

**Florian Śmieja**



Zygmunt Nowakowski, fot.  
Narodowe Archiwum Cyfrowe.

Kiedy na cmentarzu Hampstead w Londynie chowaliśmy Kazimierza Wierzyńskiego, opodal jego mogiły widać było wcześniejsze groby, poety Tadeusza Sułkowskiego oraz świetnego felietonisty, krytyka teatralnego i prozaika, Zygmunta Nowakowskiego.

Nowakowski, wieloletni członek zarządu Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie, wielki miłośnik Krakowa, ustawicznie obecny w naszych konwersacjach dzięki ciętym felietonom w londyńskim „Dzienniku Polskim”, popularny gawędziarz rozgłośni Radia Wolna Europa, dla młodych rzecznik sztywnej postawy emigracyjnej, był postacią malowniczą i kontrowersyjną. Grzmiącym dzwonem. Jego wypowiedzi w prasie i radiu brzmiały jak orędzie.

Przed młodymi zakryta była jego świetna przeszłość i twórczy dorobek. Dopiero po jego śmierci dowiedziałem się, na przykład, że był również aktorem i kiedyś grał główną rolę w „Księżu Niezłomnym”. Oglądałem natomiast w Londynie jego sztukę „Gałązka rozmarynu”. Po bardzo udanym przedstawieniu autor skromnie stwierdził, że:

To święto nie jest moim świętem, ale świętem słowa, wolnego polskiego słowa, które ja, obok innych pisarzy, dziennikarzy czy aktorów, wedle najlepszych intencji



wyrażam.

Tego słowa, rzadkiego talentu elokwencji, nieraz używał w zabiegach o wsparcie dla ulubionego tygodnika „Wiadomości” z różnym rezultatem u bogatych arystokratów i ludzi zamożnych.

Nowakowskiego nieraz ponosił temperament, a wtedy dopuszczał się ostrych i gwałtownych napaści i oskarżeń. Pisane językiem barwnym były dotkliwymi sztychami, trudno się było przed nimi obronić, a nieobyci młodzi, jeżeli już wchodzili z Nowakowskim w szranki, czuli się zmuszeni do używania broni równie rażącej w swej niezdarności i grotesce.

Tak było w 1957 roku, kiedy grupa początkujących pisarzy skupiona wokół miesięcznika młodych „Merkuriusz Polski” zaprosiła do Londynu Czesława Miłosza. Jego decyzja pozostania na Zachodzie wywołała długo toczącą się dyskusję, emigracyjne koła kierownicze spodziewały się jego pojawienia się w Londynie w roli petenta przepraszającego za współpracę z PRL-em, a myśmy go zaprosili na wieczór autorski i do tego do Sali Sztandarowej Instytutu im. gen W. Sikorskiego.



Spotkanie z Czesławem Miłoszem. Od lewej:  
Florian Śmieja, Czesław Miłosz, Zofia  
Poniatowska-Śmieja, fot. arch. F. Śmieji.

Wieczór się odbył. Liczna publiczność tłoczyła się nawet na schodach prowadzących do sali. Zygmunt Nowakowski dał upust swojemu niezadowoleniu z takiego obrotu rzeczy. W felietonie w „Dzienniku Polskim”, z 3 października zagrzymiał, że lokal, w którym się odbył wieczór Miłosza, należało wykadzić.

Jako organizatorzy spotkania zaprotestowaliśmy i wzięli w obronę naszego gościa. Będąc redaktorem naczelnym pisma wysłałem list do gazety, by napiętnować „niewybredną napaść na osobę prelegenta”. Ciągnąłem dalej, że:

Uważamy, że Zygmunt Nowakowski nie ma prawa rozstrzygać, czy Miłosz jest osobą do przyjęcia przez emigrację, tak jak nie ma podstaw do piętnowania go. Ośrodki kulturalne służą całej społeczności polskiej i źle by się stało, gdyby miały się one kierować listą proskrypcyjną. Dlatego jesteśmy pełni uznania dla kierownictwa Instytutu gen. Sikorskiego stosującego kryteria zachodnioeuropejskie.

Dylemat młodego Polaka na emigracji zwięźle ilustruje dwuwiersz Miłosza:

Przed sobą widział gładką ścianę Wschodu,

Za sobą mury polskie ciemnogrodu.

Najnowsze wystąpienie p. Nowakowskiego utwierdza nas w przekonaniu, że jest on jednym z filarów tego ostatniego.

Tę moją odpowiedź, choć utrzymaną w wątpliwym tonie, „DziennikPolski”, którego Zygmunt Nowakowski był współdyrektorem, zamieścił 14 października 1957 roku. Oprócz tego w naszym miesięczniku napisaliśmy o Nowakowskim:

[...]odmawiamy mu prawa do wyrokowania, czy zaproszony

przez nas wybitny poeta polski Czesław Miłosz mógł przemawiać „pod sztandarami” w instytucie im . gen. Sikorskiego. Odmawiamy mu prawa do nazywania Stefana Kisielewskiego i Jerzego Zawieyskiego „wysłannikami reżymu”.

Dodam, że w owym czasie Zygmunt Nowakowski nie był bynajmniej jedynym pisarzem, który takich dosadnych określeń niefrasobliwie używał.

Ostre wymiany epitetów, na szczęście nie oznaczały zerwania wszelkich stosunków i kontaktów. Pamiętam, jak kiedyś potem spotkałem Nowakowskiego na ulicy. Miał słaby wzrok i trudności z chodzeniem. Ująłem go pod ramię i zaprowadziłem do banku, do którego siedł. Nie omieszkalem przy okazji włożyć mu do kieszeni najnowszego numeru naszego czasopisma.

On nam nie pamiętał grubych określeń pisanych w afekcie i młodszej nietolerancji. Trzy lata po incydencie z Miłoszem Nowakowski napisał felieton „Kula u nogi?” Był to jego błyskotliwy komentarz do dyskusji, jaką wówczas przeprowadziliśmy w naszym piśmie na temat języka zastanawiając się, czy w naszej sytuacji język polski był dla nas najwłaściwszy, czy nie należało się od niego uwolnić i przyłgnąć do języka angielskiego. Zygmunt Nowakowski ani przez moment

nie wątpił, że jednak zwycięży język polski. Cytując fragment mojego przekładu hiszpańskiej prozy poetyckiej, nie szczędził mu najwyższych pochwał i zakończył tak:

I czy ktoś, kto tak pisze, może kiedykolwiek wyrzec się pisania po polsku? Czy polszczyzna i polskość może być u niego kulą u nogi?

Mimo, że widział, że stare i młode pokolenie pisarzy na uchodźstwie odnosiły się do siebie z obojętnością i chłodem, nie miał wątpliwości, co do tego, który język młodzi wybiorą. Decyzja nie zapadnie w dyskusji, argumentował:

Ona wykluje się sama, w samotności, w pasji, w trudzie, w męce, w wewnętrznym szamotaniu się. Decyzja taka nie może być dziełem rozwagi. Ona przyjdzie pewnego dnia jak piorun. I będzie wyrazem solidarności nie wykalkulowanej na zimno, nie wyrozumowanej, ale radosnej tajemniczej solidarności z Polską, przed którą nie da się uciec nigdzie, nigdzie ukryć, nigdzie zamknąć.

– Dodając:

A język, zamiast kulą u nogi lub wędzidłem, stanie się ostrogą do lotu.

Czy myślę nieskromnie, sądząc po latach, że przeczucia Nowakowskiego jednak go nie zawiodły ?

---

# Polskie teatry są wszędzie...

**Joanna Sokołowska-Gwizdka, *Teatr spełnionych nadziei. Kartki z życia emigracyjnej sceny*, Novae Res. Gdynia, 2016, ss. 248, liczne ilustracje i reprodukcje dokumentów.**



## Jan Kłossowicz

Książka pod wieloma względami niezwykła. Przede wszystkim dlatego, że nie dotyczy historii rodzin ziemiańskich, które są tu zwykle omawiane, ale teatru. A co za tym idzie, niezwykła dla mnie, bo właśnie o teatrze i dramacie piszę przez całe życie. Jednak to nie tylko teatr – wspomniane w tej książce spektakle i wydarzenia, które kiedyś omawiałem i w których uczestniczyłem,



ale też ludzie dobrze mi znani, z którymi od dawna już się nie spotykam – kawałek historii polskiego teatru i dramatu, który znalazł swoją kontynuację w odległej Kanadzie.

Teatr, któremu Joanna Sokołowska-Gwizdka poświęciła tak wiele pracy, nazywa się obecnie: Salon Muzyki i Poezji, a założyła go w latach dziewięćdziesiątych, w Kanadzie, znana krakowska aktorka Maria Nowotarska, którą niegdyś, nie raz na scenie oglądałem.

Rozmach i inwencja z jakimi ten teatr poprowadziła doprawdy imponuje. Repertuar – od Krasickiego po Gałczyńskiego, od poezji do kabaretu i piosenki. Gościnne występy w Ameryce i Europie. A do tego umiejętność przyciągnięcia do współpracy naprawdę wybitnych twórców: Jarek Abramow-Newerly, Krzysztof Jasiński, Kazik Braun i wielu innych, prawie wszyscy... dobrzy znajomi. Przypomina się i STS i Teatr Stu i lubelski Teatr im. Osterwy i Teatr Współczesny w Wrocławiu... Niezwykły przykład nawiązania do naszego wspaniałego teatru lat sześćdziesiątych, siedemdziesiątych, osiemdziesiątych – za oceanem.



Maria Nowotarska w roli Heleny Modrzejewskiej, w monodramie Kazimierza Brauna, fot. Alfred Mrozicki.

Można by powiedzieć, że to ogromna monografia jakiej nie doczekała się prawie żadna z najważniejszych polskich scen. To jednak coś zupełnie innego. To barokowa kompozycja najróżnorodniejszych materiałów: opisów, wywiadów, wspomnień i głębszych refleksji. Czasem pasjonująca, czasem denerwująca, niezwykła opowieść czy reportaż o wielkim umiłowaniu Polski i polskiego teatru, który pojawiał się i pojawia

wszędzie, gdzie rzuci nas los.

Jako czytelnik, choć czasem rozgniewany nadmiarem materiału, muszę ją pochwalić. Jako historyk teatru mam bardzo mieszane uczucia. Ale to przecież – powtórzę – nie monografia, a współczesna i po staropolsku, cudownie chwytająca za serce gawęda...

*Recenzja ukazała się w „Wiadomościach Ziemiańskich”, nr 69, wiosna 2017 r.*

---

# Nic nie jest takie, jak się wydaje

Z Rafałem Kapelińskim rozmawia Mariola Wiktor

**Kryształowy Niedźwiedź na 67. Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Berlinie. „Butterfly Kisses” miał polską premierę na festiwalu Netia Off Camera; 12 maja film wchodzi na ekrany kin.**



Rafał Kapeliński

**Mariola Wiktor:** Gratuluję Kryształowego Niedźwiedzia za „Butterfly Kisses”! Twój doceniony w Berlinie debiut fabularny ma wiele podobieństw z twoim wcześniejszym krótkim filmem „Emilka płacze”, zrealizowanym jeszcze w Polsce. W obu filmach wiele dzieje się na jawie, ale i we śnie bohaterów. Oba opowiadają także o utracie niewinności i mają zewnętrznych narratorów.

**Rafał Kapeliński:** Każdy dobry film powinien mieć strukturę marzenia sennego. Pewne rzeczy dzieją się naprawdę, a pewne pozostają tylko w sferze naszej imaginacji. Nic nie jest takie, jak się wydaje! „Emilka płacze” miała podobną strukturę, ale nawet

nie chodzi o te marzenia senne. Podobieństwa dotyczą tego, że mamy do czynienia z bohaterami, którzy są podglądani przez kogoś innego, przyjaciela, narratora, głos z offu.

**MW:** Dlatego twój film jest niejednoznaczny, ma otwarte zakończenie. Tak naprawdę nie wiemy, czy Jake naprawdę skrzywdził dziewczynkę, która się opiekował czy motyw seksualnego molestowania dziecka jest tylko wytworem jego wyobraźni?

**RK:** Wszystko polega na obserwacji rzeczywistości. Każdy człowiek coś innego z niej wyciąga. Mnie nie interesuje edukowanie, moralizowanie, ale to jak bardzo skomplikowana może być rzeczywistość, w jak intensywny i skomplikowany sposób my możemy tę rzeczywistość przeżywać. Ja dorastając, żyłem w rzeczywistości, ale także na jawie, we śnie. Przeplatanie się tych dwóch rzeczywistości jest w kinie wyjątkowo ciekawe, ponieważ wszystko opera się na obrazie i można nim manipulować. Można zbliżyć się do sekretu, do prawdy o otaczającej nas rzeczywistości.

To nie jest tak w tym filmie, że wszystko to, co widzimy dzieje się naprawdę. Częstkowo postrzegamy tę rzeczywistość. W filmie

„Emilka płacze” opowiedziałem o stanie wojennym w Polsce przez miłość dwojga młodych ludzi, którzy chodzą na lekcje tańca. Tam nie ma czołgów ani karabinów, ale stan wojenny istnieje bardzo mocno. A przecież w ogóle go nie pokazałem. W „Butterfly Kisses” wiele rzeczy dzieje się realnie, ale niektóre pojawiają się tylko w głowie i w wyobraźni mojego bohatera Jake’a. To jest oparte na moim personalnym doświadczeniu i odczuwaniu świata. Ja się w tym czuję komfortowo. Nie lubię w kinie opowiadania przyczynowo-skutkowego, nie lubię, gdy ktoś mnie poucza, bo świat jest tak skomplikowany, że warto spędzić życie próbując dotknąć jądra ciemności niż bawić się w doktrynerskie historie o tym, jak powinno być, a jak nie powinno.

**MW:** Twierdzisz, że twój film nie opowiada o pedofilii?

**RK:** Tak. Mój film nie jest filmem o pedofilii. To jest film o takim wrażliwym momencie w naszym dojrzewaniu, gdy mówiąc metaforycznie i geologicznie przesuwają się płyty tektoniczne w życiu młodego człowieka. Z jednej strony jesteśmy jeszcze pod skrzydłami rodziców, nie mamy problemów finansowych, egzystencjalnych, świat jest fajny, mamy kolegów, jest piłka. Dziś dochodzi do tego pornografia i narkotyki. I nagle okazuje się, że ten świat, w którym dorastamy potrafi być bardzo brutalny.

Gdy taki moment nadchodzi, to jesteśmy na niego zupełnie nieprzygotowani. Gdy mleko się już rozlewa i wiemy, że coś się

stało, to jest już za późno. Wtedy reagujemy w najróżnorodniejszy sposób, mając żal do świata albo żywiąc rozczarowanie. To są jednak momenty, w których dorastamy. Ja lubię filmy o nastolatkach, bo choć to wiek szczenięcy to wydarzają się w nim rzeczy bardzo dorosłe. Takie zazębianie się tych dwóch światów jest bardzo ciekawe.



Kadr z filmu „Butterfly Kisses”

**MW:** Czy ma znaczenie to, że Jake urodzony w Anglii jest polskiego pochodzenia, a więc wywodzi się z tradycji katolickiej? Poznajemy go jako miłego chłopaka, który opiekuje się dziewczynką z sąsiedztwa, z którą ma dobrą więź. Tak zarabia na kieszonkowe. Dziewczynka jest siostrą Zary, z którą Jake traci dziewictwo i która wyznaje, że zrobiła to dla kasy. Czy zemsta i bunt wobec tradycji może tłumaczyć jego zachowania?



**RK:** Problem, z którym się zmierzyliśmy, jest szalenie skomplikowany. Łatwo wpaść na fabularną mieliznę, pytając dlaczego? Kiedy próbowaliśmy, pisząc scenariusz, odpowiedzieć sobie na pytanie, dlaczego on ma takie myśli, to wpadaliśmy w pułapki. To się okazało mało płodne, a więc szybko zrezygnowaliśmy z tego kierunku szukania odpowiedzi na pytanie dlaczego?

**MW:** Mimo wszystko nie mogę nie zapytać o postać ojca wojskowego, który zostawił Jackiego i jego matkę. Chłopakowi bardzo go brakuje i jednocześnie nienawidzi go. Kiedy wreszcie się spotykają, przeżywają rozczarowanie. Ojciec, że syn jest niańką, a syn, że ojciec nie potrafi okazać bliskości. Jednak nawet i to nie tłumaczy wszystkiego.

**RK:** To byłoby za proste. Wydaje mi się, że zawsze sobie trzeba zadać pytanie, co ja na ten temat wiem, jakie są związane z tym emocje? Rozmawialiśmy, robiąc *research* do filmu z osobami, które mają pedofilskie tendencje. To nie jest tak, że ktoś, kto ma takie myśli, potrafi w swoim życiu zidentyfikować ten jeden określony moment, kiedy myśli: zemszczę się, zrobię coś strasznego. Nasz bohater Jake nosi w sobie demona, który go niszczy. To film o utracie niewinności, ale także w szerszym tego słowa znaczeniu, takiej czystości emocjonalnej, idealizmu. W pewnym momencie człowiek budzi się i widzi, jaki ten świat jest brudny. To jest straszny strzał w młodego człowieka, który

kochał się z dziewczyną pierwszy raz w życiu i ona mówi mu, że dostała 40 funtów za seks z nim. Bolesny jest także dla młodego chłopaka brak ojca, autorytetu. Najważniejszy w moim filmie jest moment, scena, w której dwóch przyjaciół Jake'a, gdy wszystko już się wydarzyło, biegnie do okna. I dopiero wtedy rozumieją, co to okno tak naprawdę znaczy. Jake podglądał przez nie ludzi w bloku z przeciwka, uważając, że są ciekawi. Było to wszystko dla nich tak niepojęte. Nie zrobili nic, nie pomogli Jake'owi, o ile w ogóle mogliby mu pomoc. To są myśli bezsilne, tragiczne.

**MW:** Czy w tych przeżyciach i emocjach, jakie pokazujesz na ekranie, są elementy autobiograficzne?

**RK:** Ja też miałem w moim dzieciństwie takie tragiczne wspomnienia i bezsilne, że ktoś się na przykład powiesił. Widziałem to. Albo ktoś się utopił i widziałem ciało wyciągane z rzeki. To były osoby, które znałem. Do dziś pamiętam samobójstwo mojej nauczycielki w Toruniu. To była znakomita i dobra osoba. Pewnego dnia zniknęła. Trzy dni później wyłowiono z rzeki jej ciało. Gapiłem się na to i uświadomiłem sobie wtedy po raz pierwszy w życiu, że nic nie jest takie proste, jak się zdaje. Pamiętam też obrazy ze stanu wojennego. Takie jak pałowania ludzi przez policję w bramach, gdy nikt nie widzi. Taka scena jest w filmie „Emilka płacze”. Tym momentom towarzyszą wielkie emocje, mocne. Człowiek czuje się skrzywdzony. Nie wiadomo, co z tym zrobić.

źródło: Onet Film

<http://film.onet.pl/artykuly-i-wywiady/rafal-kapelinski-nic-nie-jest-takie-jak-sie-wydaje-wywiad/bxy0eb>

---

**Rafał Kapeliński.** Reżyser, scenarzysta. Absolwent Wydziału Filologii Angielskiej Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu (1994), Wydziału Zarządzania i Administracji Mediami (MBA) Uniwersytetu Washington w Seattle, Londyńskiej Szkoły Filmowej (LFS) oraz National Film and Television School w Beaconsfield. W latach 1993-94 pełnił funkcję Dyrektora Biura Festiwalowego Festiwalu Operatorów Filmowych Camerimage w Toruniu. Współzałożyciel firmy Aurora Film Production. Stypendysta europejskiego programu Cinefondation Residence sponsorowanego przez festiwal filmowy w Cannes (2009), uczestnik warsztatów reżyserskich i scenariuszowych (m.in. Ekran, Les Premiers Plans, ScriptEast). Finalista konkursu scenariuszowego ScriptPro 2012. Autor zrealizowanych w Teatrze Polskiego Radia słuchowisk „Trzy szanse” oraz „Ależ masz bracie szczęście”. Wykładowca w Central Film School London oraz London Film School.

# Konstanty Andrzej Kulka: Jubileuszowo

*Korespondencja z Polski*

**Barbara Lekarczyk-Cisek**

**Na swoje 70. urodziny wybitny skrzypek dał 7 maja we Wrocławiu koncert „Konstanty Andrzej Kulka i goście”. Ale to nie koniec jubileuszy - minęła także 50. rocznica jego pracy artystycznej, a za dwa lata będzie świętował jubileusz ćwierćwiecza pracy pedagogicznej.**

Na wrocławskim koncercie w Narodowym Forum Muzyki Jubilat nie zagrał wprowadzić żadnego z moich dwóch ulubionych koncertów: „Koncertu skrzypcowego D-dur” Brahmsa i „Czterech pór roku” Vivaldiego. Rozumiem jednak, że Mistrz

chciał spędzić ten wieczór w towarzystwie przyjaciół, a nie wielkiej orkiestry, toteż zaproponował bardziej kameralny repertuar.



Konstanty Andrzej Kulka, fot.  
Grzegorz Rogiński

## **Konstanty Andrzej Kulka i jego goście**

Konstanty Andrzej Kulka całe życie związany jest z Gdańskiem – tu się urodził, zdobył wykształcenie muzyczne i mieszka do dziś.

Związany jestem z Gdańskiem mocno – stwierdza artysta w wywiadzie udzielonym Krzysztofowi Komarnickiemu („Muzyka w Mieście” 5/2017). Tam się urodziłem, tam ukończyłem wszystkie swoje nauki. Gdańsk jest moim miastem. Jestem profesorem wizytującym w tamtejszej Akademii Muzycznej, a w liceum, które skończyłem, jest na koniec roku szkolnego kurs mistrzowski, regularnie tam jeżdżę.

Jednocześnie Konstanty Andrzej Kulka zrobił międzynarodową

karierę. Zaczęła się od tego, że jako siedemnastolatek otrzymał wyróżnienie na Międzynarodowym Konkursie Skrzypcowym im. Niccolò Paganiniego w Genui. Potem nastąpił sukces, który otworzył mu drogę do światowej kariery: w 1964 roku otrzymał I nagrodę na Międzynarodowym Konkursie Radiowym ARD w Monachium. Koncertował we wszystkich krajach Europy, w Stanach Zjednoczonych, Japonii oraz Australii. Zagrał ponad 1500 recitali i koncertów symfonicznych, a jako solista był gościem wielu renomowanych orkiestr, m.in. Berliner Philharmoniker, Chicago Symphony Orchestra, London Symphony Orchestra. Jednak najczęściej występował z Orkiestrą Symfoniczną Filharmonii Narodowej. Artysta nagrał także wiele płyt – dla Polskiego Radia i Telewizji Polskiej oraz wytwórni Polskie Nagrania, w tym wiele sonat i utworów wirtuozowskich.

Mimo tych spektakularnych sukcesów, z wywiadów udzielonych II Programowi Polskiego Radia oraz wydawnictwu „Muzyka w Mieście”, wyłania się człowiek skromny i zdystansowany do kariery, choć świadomy swoich talentów.

Gdybym zajmował się muzyką od rana do nocy – zwierzał się w rozmowie z Krzysztofem Komarnickim – chyba bym rzucił to wszystko. Musi być jakaś odskocznia, odpoczynek, relaks. Jak tylko mogę, chętnie odkładam instrument (...). A ponieważ stosunkowo łatwo dochodzę do formy, nie

potrzebuję dużo czasu, by wrócić do grania.

Podczas koncertu w Narodowym Forum Muzyki we Wrocławiu Jubilatowi towarzyszyli muzycy, z którymi występował i nagrywał (m.in. „Polonezy” Karola Lipińskiego) – skrzypkowie: Andrzej Gębski i Radosław Pujanek (pierwszy koncertmistrz NFM Filharmonii Wrocławskiej), altista Grzegorz Chmielewski, wiolonczeliści: Tomasz Strahl i Andrzej Wróbel i wiolonczelistka Elżbieta Piwkowska-Wróbel oraz Radosław Nur na kontrabasie.









## **Karol Lipiński - bohater wieczoru**

Koncert jubileuszowy miał swoistą klamrę – na początku i na końcu usłyszeliśmy utwory Karola Lipińskiego, zaś pomiędzy nimi był Ludwig van Bethoven, Georg Friedrich Händel i Ignacy Feliks Dobrzyński. Jednak to właśnie Karol Lipiński był bohaterem tego szczególnego wieczoru. Dodajmy, że ten kompozytor jest patronem Akademii Muzycznej we Wrocławiu i że sam był wybitnym skrzypkiem, porównywanym do Paganiniego, którego znał osobiście i z którym konkurował. Obaj koncertowali w Warszawie wiosną 1829 roku, podczas uroczystości koronacyjnych Mikołaja I. Podobno Niccolo

Paganini zapytany o to, kto jest pierwszym skrzypkiem świata, odpowiedział:

Pierwszego nie znam, ale drugim jest Karol Lipiński.

Kompozycje Polaka cieszyły się sporą popularnością – publikowano je w Niemczech, Austrii, Francji, Anglii i innych krajach. Był także znakomitym skrzypkiem, o czym świadczy m.in. fakt, że po występach w Wiedniu, w uznaniu dla jego mistrzowskiej gry, otrzymał tytuł honorowego obywatela miasta. Od 1839 roku, przez dwadzieścia lat, pełnił w Dreźnie funkcję koncertmistrza orkiestry króla saskiego Fryderyka Augusta. Za wybitne zasługi dla dworu królewskiego został w 1854 roku odznaczony Rycerskim Orderem księcia Alberta. Był nauczycielem z powołania, kształcił m.in. Henryka Wieniawskiego, a po przejściu na emeryturę zorganizował szkołę muzyczną dla uzdolnionych dzieci chłopskich w swoim majątku Urłów koło Lwowa.

Na początek wrocławskiego koncertu zabrzmiał *Polonez A-dur op. 9 nr 1* – utwór dający przedsmak tego, co skrzypek potrafi zaprezentować słuchaczom. Utwór zachowuje wprawdzie formę tańca, ale partia solowa skrzypiec została opracowana w sposób absolutnie wirtuozowski. Choć wspaniały, był jednakże preludium do tego, co dane nam było usłyszeć w drugiej części.

Ta bowiem pozwoliła w pełni docenić talent wirtuoza oraz technikę gry Konstantego Andrzeja Kulki. Szczególnie wspaniale Jubilat zaprezentował się w *Wariacjach na tematy z opery „Kopciuszek” G. Rossiniego* oraz w *Fantazji na motywach opery „Krakowiacy i górale” J. Stefaniego*. Wirtuozeria wykonawcza najwyższej próby!

Dodajmy, że i Lipiński osiągnął w fantazjach na tematy operowe szczyty mistrzostwa. Samo opracowanie tematu przez kompozytora – efektowność i oryginalność nastroczają wykonawcy niemałe trudności i trzeba doprawdy wielkiego talentu i doświadczenia, a także znakomitej techniki Konstantego Andrzeja Kulki, aby je wykonać tak błyskotliwie, jak to zrobił niegdyś sam kompozytor. Utwory te usłyszeliśmy – zgodnie z praktyką wykonawczą epoki – w wersji z kwintetem smyczkowym. Brawom nie było końca, a szanownemu Jubilatowi zgromadzeni na widowni melomani zaśpiewali „Sto lat!”. Potężnych rozmiarów kolejka wielbicieli talentu Mistrza, oczekująca z płytami na Jego autograf, zakończyła ten pełen wrażeń wieczór.